



Hanna Fronczak „O pół kroku nad ziemią”

nimfa bagienna



Źródło zdjęcia: trondheim.com, foto: Carl-Erik Eriksson

- Cio-cia? - powiedziała mała dziewczynka. - Ciocia - powtórzyła, wychylając się zza krzesła, z niedowierzaniem popatrując na mnie brązowymi ślepkami.

Coś ścisnęło mnie za gardło. Rodzina. Mam rodzinę, jak inni, normalni ludzie. Siostrę, szwagra, dwie siostrzenice.

I ojca na dokładkę.

Zawsze lubiałam Mariusza. Wyglądał jak uradowana wiewiórka, zachowywał się czasami jak pensjonariusz zakładu dla nerwowo chorych. Był dla mnie jak starszy brat, którego nie miałam.

Był fotografem.

W połowie maja wpadł mi do mieszkania jak bomba. Chichotał nerwowo, trzymał ręce za plecami. Byłam przekonana, że szykuje jakiś dowcip.

Zamaszystym krokiem przeszedł do pokoju, troskliwie umieścił na krześle torbę ze sprzętem. Popatrzył na mnie.

- Zamknij oczy - polecił.

Posłusznie zamknęłam. Na twarzy poczułam lekki powiew.

- Otwórz - zakomenderował.

To było zdjęcie kobiecej twarzy. Trzymał je przede mną i nie śmiał się już. Skupiłam wzrok na fotografii... skąd ja znam tę twarz? Zapuchnięte oczy, zbyt długi nos, ładnie wykrojone usta. Ciemne włosy, szerokie brwi.

Spuściłam wzrok. Zrobiło mi się gorąco. Wolnym krokiem skierowałam się do kuchni.

Kobieta na zdjęciu miała moją twarz.

Nasypałam kawy do kafetierki. Mariusz rozwalił się w fotelu. Zaczął opowiadać, jak to pojechał na

Mazury, zabłądził w lesie, i na jakiejś zakazanej drodze, o trzy mile od Nie Wiadomo Gdzie, skończyło mu się paliwo.

- Puściłem parę choler, zabrałem sprzęt, zamknąłem wóz i ruszyłem przed siebie. - opowiadał, dmuchając na gorącą kawę. - Nie wiem, jak długo szedłem, ale ten domek znalazłem, gdy zaczęło robić się widno. Miałem trochę obiekcji, że o tej porze wyciągam z łóżka obcych ludzi. Wyobraź sobie moją minę, kiedy dziewczyna wyglądająca tak jak ty otworzyła mi drzwi leśniczówki na jakimś zadupiu!

Wyobrażałam sobie. Patrzyłam na zdjęcie, a kobieta ze zdjęcia patrzyła na mnie.

- Bardzo mili ludzie - kontynuował Mariusz. - Dali mi jeść, położyli mnie spać, a gdy się obudziłem, on zawiózł mnie na stację benzynową - popił kawy. - Nazywają się Ewa i Marcin Horodok.

Spojrzał na mnie i nagle spoważniał.

- Opowiedziałem im o tobie. Obiecałem, że przyjedziemy w następny weekend. Ona jest od ciebie niższa o jakieś dziesięć centymetrów, ale poza tym - naprawdę można się pomylić. Pojedziesz?

- Pojadę - odpowiedziałam. Mariusz odstawił pusty kubek na stół. Wstał.

- Na mnie czas - rzucił przez ramię. - zadzwonię w tygodniu, umówimy się. Zdjęcie zostawiam. Bywaj.

I wyszedł. A ja siedziałam przy stole i patrzyłam w oczy mojego sobowtóra.

Mariusz naprawdę jest świetnym fotografem. Jak on to zrobił, że zdjęcie wiernie oddaje wąskie, ciemnozielone obwódki wokół żółtych tęczówek? Nie sądziłam, że jeszcze ktoś może mieć takie oczy.

Wieś Dobrylas leży nad Pisą, w samym środku Kurpi. Las podchodzi tam pod domy, w lesie maliny, paprocie i kleszcze. Wzdłuż żwirówki domy - nowe i takie, które można by umieścić w skansenie kurpiowskim w niedalekim Nowogrodzie. Pojechaliśmy tam na weekendowy biwak.

Pisa płynęła kręto, nad zarośniętym starorzeczem unosiły się roje komarów. Herbert wyciągnął z samochodu spining.

- Idziesz? - uniósł brwi.

- Pewnie - odpowiedziałam tym samym tonem.

Do diabła - zakląłam w duchu - człowieku, kim ty właściwie dla mnie jesteś?

Brzegi były zarośnięte, do spiningowania nie nadawały się. Szłam w milczeniu za Herbertem, wpatrzona w jego plecy. Spotykaliśmy się od niedawna. Miał tak silny charakter, że dłuższe przebywanie z nim pod jednym dachem groziło wyczerpaniem psychicznym.

Odwrócił się w moją stronę. Musiałam mieć bardzo nieszczęśliwą minę, bo znowu wyraz smutku pojawił się na jego nieprawdopodobnie brzydkiej twarzy.

- Dagmara - powiedział - co się stało, hej, hej?

- Nic - uśmiechnęłam się. - Wracajmy. Straszne tu komary.

Zatrzasnął drzwi samochodu, zapuścił silnik. Przytrzymałam torbę ze sprzętem, stojącą na tylnym siedzeniu. Ruszaliśmy w kolejny rejs.

Mariusz był dziwnym człowiekiem. Niekomunikatywnym. Za dużo pił, popalał trawę. Ale dla mnie zawsze miał ciepłe słowo. Był żywym zaprzeczeniem obiegowej opinii, że niemożliwa jest przyjaźń pomiędzy osobami przeciwnej płci.

Na poboczu uciekały słupki kilometrowe. Z przeciwka nadjechała kolumna estońskich tirów. Mariusz zaklął.

Zamknęłam oczy.

Moja matka umarła cztery lata temu, gdy ja skończyłam dwadzieścia sześć lat. Były fragmenty jej życia, o których nie miałam pojęcia. Chyba nigdy nie przyjęła do wiadomości, że już dawno stałam się dorosła i nie wierzę w niepokalane poczęcie. Ileż to razy zastanawiałam się, czy jestem podobna do ojca – bo z matką różniłyśmy się jak dzień i noc.

A teraz Mariusz wiozł mnie do obcej Ewy Horodok, która była ode mnie dziesięć centymetrów niższa, a Ten, Co Na Górze, dał jej moją twarz. Na co liczyłam?

Nie wiedziałam sama.

A Mariusz siedział obok, trzymał ręce na kierownicy, od czasu do czasu zmieniał biegi i milczał jak zaklęty.

Otworzyła nam bramę, widziałam, jak się porusza. Była drobna, szczupła, biegła ku nam w podskokach, jak dziewczynka. Wysiadłam z samochodu, uchwyciłam jej wzrok.

– Nazywasz się Dagmara Sośnik? A ja Ewa Horodok – nazwisko wypowiedziała z podwójnym akcentem, na pierwszej i ostatniej sylabie. – Witaj. Czekaliśmy na ciebie – ja, Marcin i ojciec.

Zagracona kuchnia o podłodze z desek, puchaty kot na parapecie, identyczne czteroletnie bliźniaczki z przedziałkami po przeciwnych stronach. I zwalisty mężczyzna około pięćdziesiątki, siedzący na krześle pod oknem.

– To mój ojciec – zwróciła się ku niemu. – Tato, to Dagmara. Mówiłam ci o niej.

Przez otwarte okno usłyszałam, jak Mariusz i mąż Ewy dyskutują o czymś zawzięcie. Mężczyzna podniósł się z krzesła, i dość bezceremonialnie ująwszy mnie pod brodę, obrócił moją twarz ku światłu. Miał przekrwione oczy. Śmierdziało od niego wódką.

– Ile masz lat? – zapytał po chwili.

– W październiku skończę trzydzieści.

– Twoja matka miała na imię Alfreda?

– Miała. Umarła cztery lata temu.

Wzruszył ramionami.

- Wychodzi na to, że jesteś moją córką - powiedział szorstko. - Błąd młodości - sarknął ze złością. - Witaj w klanie dręczycieli.

I wyszedł z kuchni. Mariusz i mąż Ewy, którzy w międzyczasie weszli do wnętrza, spojrzeli po sobie. Ewa stała z wyrazem pustki na twarzy. Patrzyłam na nich jak na nierzeczywiste figury z holograficznego filmu. Kim oni są? Kim się dla mnie stali?

Ewa oprzytomniała pierwsza.

- A więc jesteśmy siostrami! Witaj - głos drżał jej lekko, ja także poczułam wilgoć pod powiekami. - Dagmara - uśmiechnęła się. - Jakie to ładne imię... Maja, Helenka, chodźcie tu! To wasza ciocia!

- Cio-cia? - powiedziała mała dziewczynka. - Ciocia - powtórzyła, wychylając się zza krzesła, z niedowierzaniem popatrując na mnie brązowymi ślepkami.

Po twarzy Ewy popłynęły łzy.

- Miałyśmy jeszcze jedną siostrę, ale... odeszła.

Wcale nie było mi lekko na duszy.

Mariusz taktownie milczał, pozostawiając mnie z własnymi myślami. Za oknami przesuwaly się drzewa. Westchnęłam ciężko.

- I co ja mam teraz zrobić? - powiedziałam w przestrzeń.

- Nie wiem - mruknął. - Znalazłaś rodzinę. Ja bym się cieszył.

Nie ułatwiał mi.

- To stało się tak nagle, nie wiem, co mam robić... nie wiem! Jeeezu, mam siostrę, taką miłą, taką dobrą, taką ciepłą! Ale ten śmierdzący jak gorzelnia facet w żaden sposób nie kojarzy mi się z ojcem! Do cholery, ale się porobiło... To za dużo jak dla mnie. Mariusz, kiedy wrócimy do domu, zostaniesz na kolacji?

- Nie - odpowiedział niespodziewanie. Drgnęłam.

- Dag - odezwał się miękko - nie mogę. Widzisz... poznałem kogoś. Ma na imię Monika. Wiem, wiem, nie patrz tak na mnie. Pamiętasz Basię, Beatę, Wiolkę, Natkę i Marzenę. Ale teraz to jest coś innego. Mam trzydzieści pięć lat i nie mogę żyć samymi zdjęciami. Trafiłem na swoją kobietę. Mam kogoś, z kim mogę pogadać, kto zobaczył wreszcie, że nie jestem tresowaną małpą ani sex-maszyną, tylko normalnym człowiekiem. Kogoś, kto będzie na mnie czekał w domu, gdy wrócę. Wbiłem w nią pazury i już nie puszcze - roześmiał się.

- A ty, Dag? - zapytał po chwili. - Co u ciebie i Herberta?

- Dag to był Hammarskjöld - warknęłam i odwróciłam się demonstracyjnie. Co za pytanie. Nawet przyjaźń ma swoje granice.

Herbert, pomyślałam, tak bardzo się oddaliłeś. Tyle nerwów, tyle energii mnie kosztujesz. Nie umiem okazać, ile dla mnie znaczysz. Chociaż... ile właściwie? Nie wiem.

Mariusz dodał gazu. Nie odrywając wzroku od drogi, zdjął rękę z kierownicy i uściśnął mnie za ramię.

- Witajcie, mili ludkowie. Powitała was Kate Bush i jej głos, zimny i słodki jak lody waniliowe. Tym, którzy właśnie się obudzili – uświadamiam, że mamy sobotę, 11 września anno domini 2004. Słoneczko było uprzejme wstać o godzinie 6.04, i jeśli nie zajdzie nic nieprzewidzianego, pozostanie z nami do godziny 19.01. Za konsolę wygodnie sadowi się Dagmara Sośnik, by towarzyszyć wam przez następne pięć godzin. A teraz, by nie znudził was mój nieco jeszcze zaspany głos, godnie zastąpi mnie Freddie Mercury.

Wyłączyłam mikrofon, zsunęłam słuchawki. Moja niechęć do wstawania o wpół do piątej rano była wielka, ale znakomicie równoważyła ją radość, jaką dawały mi poranne programy. Z pracą jest jak z miłością – liczy się tylko ta obecna. Wszystkie przeszłe i przyszłe to tylko abstrakcje.

Freddiego Mercury'ego zluźowała Lady Gaga, potem Renata Przemyk. Powoli opadało ze mnie poranne zamroczenie snem. Do studia wśliznął się chłopak, przygotowujący i czytający wiadomości. Pomachał mi na powitanie przez podwójną szybę. Ściągnęłam suwak. Elektronicznie ustawiony pikuś wypikał godzinę siódmą.

Wiadomości. Wyjątkowo krwawy karambol na szosie w okolicach Nicei. Argentyński samolot runął do morza. Cztery tony marychy znalezione na przejściu granicznym w Świnoujściu. Idol nastolatek, Rob Zombie, pokazał swojego ptaka młodziutkiej karmelitanice. Silne wiatry z kierunków wschodnich. Wzdrygnęłam się. Żyjemy na najlepszym ze światów.

Suwak poszedł w górę, zgasiłam napis 'Cisza' nad drzwiami. Do studia wsunęła głowę sekretarka.

- Dagmara? Po programie zajrzyj do szefa.

- Coś się stało?

- Nie mam pojęcia.

Dałam znak głową, sekretarka zamarła w bezruchu.

- Po wysłuchaniu porcji tych jakże pokrzepiających wieści nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zaproponować wam odpowiadającą ich klimatowi piosenkę. Ten bezcielesny głos to Fish, te zawodzące dźwięki to Marillion. „A morning mare rides in the starless shuttlers of my eyes.”

Sekretarka popatrzyła na mnie dziwnie.

„Wynoś się stąd!”, pomyślałam. „ Nie zasłaniaj mi słońca.”

Jechałam autobusem i dławiałam się z wściekłości. Wylali mnie. Tak po prostu.

Szef spojrzał na mnie bez wyrazu i wyrąbał prosto z mostu: musisz odejść. Jesteś świetna, jesteś doskonała. Masz idealne poczucie humoru, równie idealnie znasz się na muzyce, jesteś inteligentna, wygadana, och i ach. Istnieje tylko jeden drobny mankament, który nie pozwala ci u mnie pracować. Twój głos. Może wzięłabyś się za pisanie?

Rzygać mi się chciało od tej korporacyjnej gadki, jego plastikowy współczujący uśmiech sprawiał, że

miałam ochotę krzyczeć. Nie, nie wzięłabym się za pisanie. Było mi wszystko jedno. Miałam wrażenie, że ktoś uderzył mnie w głowę i zrobił to wyjątkowo mocno. Nie ma co, miałam przecież prawie trzydzieści lat. Pracowałam w kilku rozmaitych miejscach, ale zawsze wiedziałam, że to nie to. Spróbowałam w radiu, i od pierwszego poprowadzonego programu wiedziałam, że przestaję dalej szukać. Wreszcie było tak, jak trzeba. Wreszcie miałam, czego chciałam. Wiedziałam, że mój głos nie brzmi idealnie, ale, do diabła, siedziałam przed mikrofonem już od pół roku, i jakoś nikomu to nie przeszkadzało. Ciekawe, komu nagle zaczęło. I – przede wszystkim – dlaczego?

A teraz siedziałam w autobusie dalekobieżnym, który wiozł mnie do Ewy. Do mojej siostry. Do kogoś, z kim mogłam porozmawiać.

Zasnęłam. I o mało nie przegapiłam właściwego skrzyżowania.

- Eeeewy nie maaaa - wybełkotał ojciec. - Wszysccyyy pojechali do miaaaasta - odbiło mu się smrodliwie. - Przyyyyyyjechała moja najstarsza dziewczynkaaaa... Chodź do domu. Poczekamyyyy.

Nogi plątały mu się lekko, ale uścisk ręki na moim ramieniu był niespodziewanie silny. Zadrżałam wewnętrznie. Matka wpoila mi kilka rzeczy, między innymi paniczny lęk przed pijakami; ciekawe, swoją drogą, czy pił już wtedy, kiedy się poznali. Nie wiem dokładnie, w jakim jest wieku, ale wychodzi na to, że matka była od niego starsza najmarniej o dziesięć lat.

Starał się być gościnny. Zakrzętnął się koło kuchni, by zrobić herbaty. Bałam się, że zrobi sobie coś złego, w piciu osiągnął już takie stadium, w którym w każdej chwili mógł osunąć się na ziemię. Siedziałam na brzeжку krzesła i szczękałam zębami jak aniołek w przedsionku piekiel.

- Dagmara! - postawił przede mną szklanke herbaty i usiadł z rozmachem przy stole. - Dagmarrrrrr! - krzyknął i spojrzał na mnie jakoś tak wyjątkowo przytomnie, jakby wcale nie był załany, a jedynie chciał mnie wypróbować. - Słuchaj!

Słuchałam.

Łypał na mnie spode łba.

- Wcale o tym nie wiesz - powiedział nagle równym, spokojnym głosem - ale jesteś dręczycielem. Dręczycielem! Tak jak ja. Jak Ewa. Jak wszyscy z mojej rodziny. Lubisz to miejsce? To życie?

Boże drogi, niech ta Ewa już przyjedzie... Dyskusja z pijanym ojcem, którego po raz drugi w życiu widzę na oczy? Dziękuję, nie jestem w nastroju.

- Nie przyszło ci nigdy do głowy, że gdzieś tam, za progiem, może być inny świat? - wygodnie rozparł się na krześle, splótł dłonie, i ciągle patrzył na mnie spod oka.

- No? - ponaglił do odpowiedzi.

- Nie wiem, nigdy o tym nie myślałam - odparłam ostrożnie.

- To tylko nazwa - kontynuował. - Dręczyciele. Tak samo dobra, jak inne. Ty też to możesz. Wytlumaczę ci, jak. Jesteś moją córką, jak Ewa, jak Agata! Musisz wiedzieć!

Skinęłam głową. Rany boskie, jestem sama w pustym domu z szaleńcem.

Patrzył, jakby mnie nie widział. Jakby mówił tylko do siebie.

- Nikomu z nas tu się nie układa. - podjął po chwili. - Wszystkim jest parszywie, bez wyjątku. Co może na to poradzić normalny człowiek? Nic. Ale ja nie jestem normalny. Jestem dręczycielem. Ja stąd odejdę.

- Światów jest dużo - zamknął oczy. - Można je odkrywać i stwarzać, brać, wybierać. Możesz znaleźć sobie taki, jaki chcesz. Potrzebujesz forsy? Stwórz taki, w którym jesteś córką Rockefellera, i przejdź do niego. Masz męża?

- Nie.

- I wcale go nie potrzebujesz! - ryknął triumfalnie. - Jeśli chcesz, wybierzesz sobie taki świat, gdzie będziesz miss universum, i wszyscy będą się o ciebie bili! Pamiętaj, córeczko... a może chcesz być prezydentem świata? Pomyśl, że nim jesteś. A potem bardzo tego zapragnij i uwierz, że to już się stało. Wystarczy.

Upił trochę mojej herbaty.

- Pewno myślisz, że zwariowałem?

- Nie, skądże - zełgałam gładko. A właściwie nie zełgałam. Był tak pijany, że mógł wierzyć w cokolwiek.

- Widzisz, dziecko - spojrzał na mnie jakoś tak podejrzanie bystro i ciągnął już zupełnie normalnym głosem - Wszyscy chcemy, by było nam dobrze. Staramy się, ale rzadko nam wychodzi. Nie wiem, kto pierwszy z mojej rodziny odkrył u siebie tę zdolność. Na świecie są dwa rodzaje ludzi: my i cała reszta. Potrafimy to, o czym inni mogą najwyżej pomarzyć. Możemy być szczęśliwi.

- Ujął mnie za rękę i uśmiechnął się smutno.

- To prawda, córeczko. Możesz przejść. Wyobraź sobie otoczenie, w którym będzie ci dobrze. Domek za miastem? Volvo z kierowcą? Pokażne konto w banku? Przystojny blondyn? Wymyśl to sobie, wyobraź, zamknij oczy, dopracuj wszystkie szczegóły. A potem - po prostu wyciągnij rękę i przejdź. Wszystko będzie już na ciebie czekało.

Zamilkł. Niespokojnie wierciłam się na krześle. Coś tu było nie tak. Zniknął gdzieś bełkoczący, zalany facet, którego się bałam. Zamiast niego siedział ze mną ktoś, kto mówił spokojnie i patrzył na mnie tak bystro, jakby nie wygadywał oczywistych bredni, lecz dzielił się ze mną wynikami naukowego eksperymentu.

- Zrobię tak kiedyś - odezwał się po chwili. - Jeszcze nie teraz. Nie chcę jeszcze nikogo zabijać.

- Widzisz - ciągnął - nic nie dzieje się bez kosztów dodatkowych. Za życie w idealnym świecie trzeba zapłacić. Jak? Jesteśmy dręczycielami. Moja wizja już jest, już mnie oczekuje. Ale bariery nie da się przekroczyć bezkarnie. Musisz o tym wiedzieć, zawsze tak było. Jeśli ucieknę, zginie ktoś, kto był mi tu bliski. Nie wiem, kto. Ewa? Maja? Helenka? Może moja żona, wciąż jeszcze gdzieś żyje, i przecież była mi droga?! A może to będziesz ty?

Umilkł i patrzył na mnie, jakby miał nadzieję, że powiem coś konstruktywnego, że mu przytaknę. Wydawał się bardzo zmęczony i dziwnie postarzały. Pokiwał głową i wyszczerzył w uśmiechu żółte zęby.

- I ty też. Ty też mi nie wierzysz.

Od strony okna dobiegł znajomy szmer silnika.

Wrócili z zakupów. Ewa siedziała za kierownicą, Marcin właśnie otwierał bramę. Rzeczywistość wróciła do normy.

- Któregoś dnia - wykrzywił się ojciec - i ty będziesz chciała sprawdzić, jak to jest.

Kuchnię w leśniczówce Ewy polubiłam od pierwszego razu. Budynek był stary, zbudowany tuż po wojnie, miał zakopiański dach i strych pełen tajemniczych zakamarków. Kuchnia zajmowała prawie połowę parteru. I był w niej - o cudzie - piec chlebowy, w którym moja siostra piekła od czasu do czasu prawdziwy wiejski chleb.

Patrzyłam, jak się uwija po kuchni. Wygląda jak jaskółka uciekająca przed promieniem lasera - pomyślałam niemądrze. Odsunęła swoją na wpół perską kotkę, zerknęła przez okno na córki, wydające dzikie okrzyki spod sągu drewna. Przysunęła krzesło i usiadła przy stole, naprzeciwko mnie.

- Rozmawiałś z ojcem. Powiedział ci.

To nie było zapytanie. To było stwierdzenie.

Skinęłam głową.

- Zastanawiasz się, czy stary zwariował?

Nie powiedziałam nic. Ewa ukryła twarz w dłoniach.

- Miałymy jeszcze jedną siostrę - podjęła po chwili. - Agatę. Była ode mnie młodsza o cztery lata. Matka odeszła od ojca, kiedy ja miałam dziesięć lat, Agata sześć. Nie byli dobranym małżeństwem, pamiętam kłótnie, nocne płacze i wrzaski. Dzikie awantury. Któregoś dnia - po prostu wyjechała.

Odjęła rękę od twarzy.

- Byłyśmy małe - kontynuowała - i ojciec stał się dla nas wszystkim, oparciem, jedyną pewną rzeczą wśród samych niewiadomych. Jego historia o dręczycielach towarzyszyła nam od wczesnego dzieciństwa i była bajką, bo kto mógłby w to uwierzyć?

- Agata była taka jak ty - podjęła po chwili. - Nerwowa, nieobliczalna, szybko nudziło ją wszystko, za cokolwiek się wzięła. Chciała mieć więcej niż inni, pragnęła rzeczy niemożliwych. I był taki dzień, że siedziała tu ze mną, tak jak ty, i pytała, czy wierzę w tę historię ojca.

Urwała.

- Miała dwadzieścia lat. Tydzień po tej rozmowie - po prostu zniknęła. Daliśmy znać na policję, szukali jej długo. Nigdy nie znaleźli.

Wstrzymałam oddech. Przez uchylone okno dobiegały krzyki bliźniaczek.

- Agata miała chłopaka - Ewa beznamietnie patrzyła przed siebie. - Utonął w jeziorze dwa dni po jej zniknięciu. Było lato, pracował jako ratownik. Pływał jak ryba. Nikt nie mógł zrozumieć, jak to się stało.

Zwiesiła głowę.

- Nie wiem, czy wierzę. Prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi!

- A ty - odważyłam się zapytać - nie tęsknisz za wymarzonym światem?

Uśmiechnęła się. Zrobiło mi się ciepło, tak promienny był to uśmiech.

- Ja jestem zwykłym człowiekiem - odpowiedziała. - Nie przyjmuję do wiadomości istnienia dręczycieli. Nie mów tego nikomu, ale to ja oświadczyłam się Marcinowi, i wcale nie byłam pewna, co mi odpowie. Jesteśmy pięć lat po ślubie i kocham go jak głupia. Urodziłam mu dwie wspaniałe córki i dobrze mi z nim w tym lesie. To jest właśnie mój wymarzony świat. A ojciec? Niech wygaduje, co chce. Jest moim ojcem. Trzeźwy czy pijany, normalny czy szalony.

Do tej pory nie wiedziałam chyba, czym jest prawdziwa zazdrość. A teraz patrzyłam na moją siostrę - i czułam, że już wiem.

Parapetówka u Marka nie udała się. Wyszliśmy razem z Herbertem w miarę wcześnie. Był koniec listopada, temperatura oscylowała w okolicach zera, padał gęsty śnieg. Było szaro i paskudnie.

- Wsiadaj - mężczyzna mojego życia machinalnie otworzył drzwiczki. Właśnie tym gestem mnie podbił - kiedy to było? Prawie rok temu?

Wjechaliśmy na Puławską. Znał drogę. Ostatecznie bywał u mnie nie raz.

- Wszystkie drogi prowadzą na Plac Unii - powiedziałam, byle coś powiedzieć, byle przerwać tę krępującą ciszę.

- ...ale wcale nie muszą - kontynuowałam, gdy nie podjął tematu. - Gdybyś miał wybierać, gdzie byś zamieszkał?

- Nie wiem - wlepił wzrok w śnieżynki, które wiatr rzucał o przednią szybę.

- A ja wiem - roześmiałam się. Wszystkich ciągnie na południe, ale dla mnie jest tam stanowczo za gorąco. Widziałam kiedyś zdjęcia pewnego miasta w Norwegii. Nazywało się Trondheim. Ogromnie mi się podobało. Było takie inne. Takie... takie stare. Pomyślałam wtedy, że chyba poczułabym się tam jak u siebie w domu. Miasto leży nad morzem, a z drugiej strony otaczają je góry. Niesamowity widok - morska zatoka i setki maleńkich domków, jeden nad drugim. Zimą tylko na trzy godziny pokazuje się tam słońce.

Roześmiał się. Milczał. W końcu zatrzymał się przed bramą.

Chyba każdy z nas na wpół świadomie nosi w głębi duszy przekonanie, że jest w jakiś sposób wyjątkowy. Od wczesnego dzieciństwa chciałam być inna, chciałam być najlepsza - i nic z tego nie wychodziło. Nie miałam słuchu absolutnego, talentu literackiego ani plastycznego, natura nie obdarzyła mnie wyjątkową urodą ani szczególnie wysokim IQ. Byłam normalna do obrzydliwości.

Do czasu rozmowy z ojcem.

Mariusz wysłuchiwał mojej relacji, nie zadając zbędnych pytań. Dolewał sobie kawy z dzbanka, palił

papierosa za papierosem i patrzył. A ze mnie, w miarę jak mówiłam, opadało podniecenie.

- Po co ci to było, Dag? - westchnął, gdy skończyłam. Zwiesił głowę.

- Zmieniłaś się - podjął. - Oczywiście, cieszę się, że takim ślepym fartem znalazłaś rodzinę, Ewa jest bardzo miła, ale... ale boję się o ciebie. Kiedyś byłaś normalną dziewczyną. Teraz zachowujesz się tak, jakbyś się obawiała, że ktoś ci skoczy na plecy.

- Mariusz...

- Nie, daj mi skończyć. Nie wiem, czy to, co powiedział twój ojciec, jest prawdą. Może ma delirkę, może ty i Ewa oddajecie się rodzinnej psychozie. Nie, nie wiem, co stało się z Agatą i jej chłopakiem. Nie wiem, i nie chcę wiedzieć! - uderzył pięścią w poręcz fotela. - Wiem jedno - gonisz ułudę, i nieważne - prawdziwą czy zełganą!

Nie widziałam nigdy, by tak się zdenerwował. Nagle objął mnie i mocno przytulił, a ze mnie opadło całe zdenerwowanie, i niespodziewanie dla samej siebie rozplakałam się.

A on, stary praktyk, doskonale umiał postępować z płaczącymi kobietami. Odgarnął mi włosy z czoła, uspokajająco gładził po plecach.

- Nie nurkuj w to zbyt głęboko, Dag - usłyszałam jego głos. - Twój ojciec, poza tym, że zrobił trzy ładne dziewczyny, nie dokonał w życiu zbyt wiele. Stworzył więc sobie idee fixe i żyje z nią, i jest szczęśliwy. Ale ciebie do tego szkoda. Kreować świat według własnego widzimisię? Można, ale po co? Tak, wiem, wszystko ci się ostatnio w życiu obsuwa. Co z tego? To minie, nie ma takiego dna, od którego nie można się odbić. Przecież nie o to chodzi, by złowić króliczka, ale by gonić go!

Zamrugalam. Miałam wrażenie, że widzę go po raz pierwszy. Niepoważny, szyderczy Mariusz wydał mi się nagle kimś o wiele starszym i bardzo, bardzo mądrym. Pokręciłam głową ze zdziwieniem.

- Ty też się zmieniasz - uśmiechnęłam się. - Czy to wpływ Moniki?

Zajrzał mi w oczy, wciąż tak samo poważny.

- Nie. Ja zawsze taki byłem. To ty wołałaś słuchać dowcipów. Więc opowiadałem ci je.

Krew uderzyła mi do twarzy.

A on uśmiechnął się tym dobrze znanym uśmieszkiem tresowanego małpizona.

- Zapalisz?

Zatrzymał auto przed domem. Pochyliłam się, podnosząc torebkę i parasolkę, odpięłam pas. Uniosłam głowę.

- Herbert, jak to właściwie jest z nami? - zebrałam się na odwagę. - Wszystko idzie nie tak. Czy naprawdę nie mamy sobie nic do powiedzenia?

Patrzył na mnie ponuro.

- Nie zrozumiesz.

- Zrozumiem.

- To koniec, Dagmara.

Zaraz, zaraz, o czym on mówi?

Tak, ma rację. Przecież spodziewałam się tego. Już od dłuższego czasu nie mamy wspólnych tematów. Żyjemy obok siebie jak dwie niemowy, spotykamy się tylko prawem inercji. Ja mam swój świat, on ma swój. Choć kiedyś wydawało się nam, że te dwa tak różne uniwersa mogą się jednak na siebie nakładać.

- Tak - usłyszałam swój głos. - To koniec.

I jaki smutny koniec - pomyślałam. - Jakiś złośliwy demon pokazał nam kiedyś, jak dobrze mogłoby być. Jak piękny jest ten świat, który nas do tej pory omijał. A potem minęło trochę czasu i dla obojwojga stało się jasne, że los zrobił nam paskudny kawał. Wzięliśmy nasze wyobrażenia za prawdę.

Spuścił oczy, wlepił wzrok w swoje ręce. Wyglądał jak manekin - tyle było w nim woli życia.

Otworzyłam drzwi, wysiadłam i zatrasnęłam je za swoją przeszłością. Mechanicznie ruszyłam przed siebie. Raz, dwa; raz, dwa.

Wchodziłam po schodach i śmiałam się w duchu jak opętana. Więc to by było na tyle, co się tyczy Herberta. Był dla mnie wszystkim. Był. Sic transit gloria mundi.

Na miłość boską, mam trzydzieści lat, najwyższy czas, abym przestała się zachowywać, jakbym miała dwadzieścia mniej. Wielbiłam go za to, że wie więcej niż ja, że na każde pytanie umie znaleźć sensowną odpowiedź. Był olbrzymem i zmałał, stał się zwykły, normalny. A może to ja urosłam? Kim się stałam?

Dręczycielem?

Homo super? Czarownicą?

Czy kiedykolwiek przyszło mi do głowy, by zadać mu pytanie, kim ja dla niego jestem? Znajomą o podobnych zainteresowaniach? Odbiciem w lustrze? Panną o pięknych dłoniach, uroczych oczach i nogach do samej ziemi, za którą faceci oglądają się na ulicy?

A może tym wszystkim - po kawałku?

Otworzyłam drzwi, weszłam do mieszkania i usiadłam w fotelu, nie zapalając światła.

Herbert, ty brzydki i jakże inteligentny człowieku. Nie wyszło nam, nie ma co się oszukiwać. Szkoda. Może utrzymałbyś mnie tutaj, jak Marcin i bliźniaczki trzymają Ewę?

Ejże, a co to za myśli?

Nie, nic by z tego nie było. Czasy mickiewiczowskich świtezianek dawno się skończyły. Który normalny mężczyzna zechce związać się z istotą nadprzyrodzoną?

Co też mi do głowy przychodzi?

Patrzyłam przed siebie, w ciemność. Skuliłam się w fotelu. Czy tak zaczyna się obłąd?

Jestem wolna, mam możliwość wyboru. Teoretycznie. Teoria nie wytrzymuje konfrontacji z praktyką, gdy w grę wchodzi rzeczy istotne. Bycie wolnym to swoboda decyzji.

Decyzji, która zrobi ze mnie mordercę!

Nie, to przecież tylko fantazje. Ale przez chwilę spróbujmy. Załóżmy...

Mogę mieć wszystko, co zechcę. Wszystko, w zamian za to nic, które tutaj zostawię. Wszystko. Szybko, cicho, natychmiast. Wszystko, łącznie z gwiazdką z nieba i zorzą polarną w butelce!

Które z nich za to zapłaci? Ewa? Marcin? Jedna z ich córek?

Jak to było? Nie o to chodzi, by złowić króliczka, ale by gonić go?

Mariusz żeni się i nie ma dla mnie czasu. Straciłam moją wymarzoną pracę. Herbert przestał dla mnie znaczyć cokolwiek.

Zbyt szybko ucieka ten króliczek.

Czas się zbierać, Dagmaro. Czas wyfrunąć z gniazda. Ptaki opuszczają miejsca lęgu, ludzie emigrują z miejsca narodzenia. W szerokim świecie każdy poszukuje swego królestwa.

Kto zapłaci za moje? Mariusz? Czy może Herbert?

Zacisnęłam zęby. O czym ja myślę? Co to za bzdura?

Pragnienie rysowało mi pod powiekami górzysty krajobraz z wrzynającą się w niego klinowatą odnogą fiordu. Wyspa Mnichów na końcu krętej, piaszczystej łąchy.

Droga do raju prowadzi po trupach?...

W oddali wzgórze porośnięte lasem, bliżej – ulica obrzeżona drewnianymi domami. Na latarniach wiszą doniczki z kwitnącą nasturcją. Trzy samochody zatrzymują się przed przejściem dla pieszych. Hamują na czerwonym świetle.

Nie. Nie mogę. Nie mam prawa.

Jasnowłosa dziewczyna w spodniach khaki i oliwkowej chuście zarzuconej na ramiona opiera się plecami o słup sygnalizacji świetlnej. Dwaj policjanci w samochodzie pozdrawiają ją gestem.

A więc to już?

Wyciągnęłam rękę ku materializującej się uludzie, a zachodzące słońce oświetliło mi twarz.

I zawisłam dokładnie o pół kroku nad ziemią.

Hanna Fronczak